

— Zdaje mi się — odezwała się Olga — że trzeba było przyjąć czem tych robotników.

— Zgoda! — zawołał wesoło Żalecki — piękne panie i panowie! prosimy o składkę — rzucił parę drobnych monet na stół — a ty, Waldman, jako gospodarz, postaraj się o elegancję i salon.

— Ja poszukam u sąsiada samowaru, albo maszynki do gotowania — powiedziała Helena, wstając.

— A co ja będę robił? — spytał Schweiger.

— Wy, kolego — zaśmiał się Żalecki — będziecie reprezentowali powagę „Pochodni“, siedzicie jako senator.

— Ja nie uznaję senatu.

— I w naszym przyszłym państwie będzie senat starców mądrych... my was dziś już mianujemy.

— Co wy, Żalecki, dzisiaj tacy weseli? — rzekł Schweiger z powagą.

— Uczony senatorze, mylisz się... jestem smutny — zrobił minę zgnębionego i po chwili dodał — ale, ale, prześwietny wydziale, gdzie umieścimy robotników, źródło i cel naszej pracy. Ja od biedy wezmę jednego...

— Wzięłbym drugiego, ale lada dzień spodziewam się ojca, nie mogę — usprawiedliwiał się Waldman.

— A nas śpi w pokoju troje, a kuchnia ledwie starczy, aby przecisnął się gruby człowiek — uśmiechnął się dobroduszenie Schweiger.

— Niech śpi w lokalu „Pochodni“ — doradziła Olga.

— Bardzo dobrze! — zawołał Żalecki — gospodarzu Waldmanie, łóżko, pościel, dywany...

— Ależ nieporządek u sąsiada — mówiła Helena, wychodząc z przyległego pokoiku — ledwie odszukałam maszynkę i spirytus.

— Idę po zakupno! — zawołała Olga — co państwo każą? Mamy w kasie dwie korony i trzydzieści halerzy.

— Kucharko! — mówił z powagą Żalecki — nie kupuj trufli, ani bażanta, ani indyka...

— Ani sarny, ani dzika — śmiał się głośno Waldman, ucieszony rymem.

— Tylko kiełbasy, bułek, chleba, herbaty i cukru.

— Idę już — zwróciła się ku drzwiom.

— Kucharko, a oszczędnie — wołał za nią Żalecki — dużo a tanio!

— Kolego Schweiger — mówił poważnie z wymówką w głosie — wypadało wam wyręczyć koleżankę Wojtyrską, siedzicie jak malowani, a wszyscy pracują dla was, kapitalisto!

— Wyzyskiwacz!

— Burżu!

— Milczcie, niewolnicy, bo zawołam wojsko, policję, żandarmeryę — mówił Schweiger z niezamąconą powagą, co wywołało wybuch wesołości — do warstata! do roboty!

— Idziemy już!

— Litości! — skomleli na różne tony, porządkując przy tem pisma, przygotowując szklanki.

Pokazało się, że są trzy szklanki, z tych jedna pęknięta, i gdy Żalecki z Heleną poszli przeszukiwać pokój sąsiada, Waldman zbiegł do stróżki, wołając:

— Schweiger, pilnuj maszynki! — a ten posłuszny, nie odrywał oczu od płomienia.

Poszukiwania u sąsiada były bezskuteczne, a Helena poczęła żałośnie narzekać:

— Takiej nędzy, jak w „Pochodni“ nie widziałam, ani obrusa, ani srebra, ani zastawy...

— Ani smutku, ani rozpacz, ani żalu — ciągnął tym samym tonem Żalecki.

— Czegóż wy tak lamentujecie? — zawołała Olga z progą.

— Nad twą rozrzutnością, kucharko! Ile wzięłaś koszykowego?

— Burżu nienasycony, nie dotykaj mego honoru! — zawołała rozweselona.

Przy rozkładaniu zapasów, przyniesionych na papierach i gazetach, znów posypały się żarty, koncepty, dowcipy.

Rozbawieni, nawet nie zauważyli skrzypu drzwi, w których stanął Walczak, lecz poczuł magnetyczne jego spojrzenie, umilkli i spoważnieli na widok jego surowej, posepnej twarzy.

Wszedł, a za nim dwóch robotników, porządnie ubranych, tylko zapadłe, żółtawe twarze świadczyły o ich zmęczeniu.

— Koledzy! przedstawiam wam dwóch dzielnych towarzyszy: Andrzej Płużek, odlewacz — wskazał na blondyna trzydziestokilkuletniego, niskiego, szczupłego, z małym wąsem, — i Tomasz Różga, kowal fabryczny — brunet, średniego wzrostu, barczysty, z krótko przyciętą brodą.

— Witajcie nam — podszedł Żalecki, podając rękę, a za nim inni.

— Dobry wieczór paniom i panom — skłonili się grzecznie.

— Bez tych ceremonii, towarzysze — uśmiechnął się Walczak — jesteście wśród swoich, mówcie: towarzysko i towarzyszu. — No, rozgościecie się!...

Gdy usiedli za stołem, a Helena i Olga nalały herbaty, jedli wszyscy, zapraszając gości usilnie, a rozmowa toczyła się ogólnikowa, o Warszawie, gdzie obaj pracowali, o drożyznie...

— A jaką mieliście drogę, towarzysze? — spytał Żalecki.

— Ciężką... niech ręka Boska broni — odpowiedział Płużek, może nazbyt donośnym głosem, ale przyjemnym w głosie — ale nas nie dostali w swe ręce, te psułaty Mochy.

— Jakżeż to było? — spytała Olga — bo wiem, jak to trudno ująć.

— To pani — a po chwili zmieszania — towarzysza z naszych stron? — rozjaśniła mu się twarz.

— Znam ja i policję i żandarmów.

— To już chyba opowiem od początku?

— Prosimy was, towarzyszu.

— I ja proszę — dodał Walczak — bo dokładnie nie opowiedzieliście.

— Zaraz... słuchajcie Tomasz — zwrócił się do towarzysza — a kiedy to pierwszy raz zmiarkowaliśmy szpiegostwo? Czy nie jakoś po Gromniczej?



— To nie gra słów — zaperzył się Waldman — pokaż mi, gdzie jest Polska?

— Tak, tak... na dwa tygodnie przed Wielką nocą... pamiętam, bo moja mi chorzała.

— Otóż jakoś z początkiem jesieni, rok już minął, stanął w naszej fabryce przy piecu robotnik, chłop jak dąb, i hycel po naszymu się nazywał, Jan Kobza. No i nic... pracuje... lon bierze... tylko, że znajomości lubił, a i pił setnie, ale że to w kawalerskim stanie, to i nie bardzo dziwowało się temu.

— A ja mówiłem, że mu źle z oczu patrzy — dodał kowal Różga.

— Prawda, ale nikt wam nie wierzył, bo wy lubicie łatkę przypiąć — uśmiechnął się. — Otóż, jak się rzekło, on był w fabryce i zwyczajnie razem się chodziło, gawędziło. No i cóż się nie robi? Jako nam Moskale polskie szkoły zabrali i uczyć po polsku zabraniają pod karą i aresztem, tak my, ojcowie, nie mogliśmy ścierpieć, aby nasze dzieci nie umiały nawet pomodlić się na książce i uradziliśmy zrobić polską szkołę w mieszkaniu jednego z kolegów, a nauczycielowi płacić. Znalazł się student i ochotnie uczył i nawet swego dał na książki co biedniejszym. Aż tu jednego dnia zgraja Moskali, policji, iszczyków, żandarmów obstąpili dom... studenta do cytadeli; kolegę i jego żonę, co nam stancyi użyczyli, do aresztu; i dopiero straszyć, bić dzieci, aby powiedziały nazwiska swoje. No, mój mały zmyślny — rozjaśniła mu się twarz.

— A i mój także — pochwalił się kowal.

— I wasz także, chociaż to maleństwo, bo mój dziesiąty, a wasz siódmy rok, jednak nie powieździeli nazwiska prawdziwego... ledwie to od ziemi odrosło, a wie już, jak z Moskałem poczynać...

I nas ominęła kara, ale kupa narodu zapłaciła sztraf, a co dni namarnowała po cyrkulach, policych, sądach...

Obydwaj wzdychali smutnie i dopiero po chwili mówił dalej:

— W głowę zachodzimy, kto zdradził? Aż tu zabierają naszą robotniczą kasę, cośmy sami robotnicy składali po kilka groszy na pomoc po aresztowanych i krzywdzonych, a skarbnika precz wypędzają. To znów czepiają się robotników o pieśni, co śpiewają, o książki wszelakie... ano, jasne dla nas, że ktoś swój, ale kto? Słyszysz raz moja w sklepie, że ten Kobza rozmawia po moskiewsku z kimś, powiedziała mi, ja dalej śledzić, nie spuściłem go z oczu na krok, ni w dzień, ni w nocy. Widzę, ma konszachty z Moskałami... aż raz wita się z tajnym agentem. Mam cię, już mi nie ujdiesz. Zmówiłem się z Tomaszem — spojrzał na towarzysza — ale przecież bez sądu i dowodu nie uśmiercimy go. Upatrzyliśmy chwilę, on idzie na nas, staje i powiadam, jako wiem, żeś ty szpieg i zdrajca, a on pyta o dowody. Mówię mu, co wiedziałem, ten widzi, że nas tylko dwóch, a stójkowy, niby policyant, na rogu,owiada: Jam ci jest, nie buntujcie się, i do mnie z rewolwerem. Schwyciłem za rękę, skrzyłem na wiór, krzyknął, jak wściekły, a Tomasz pod serce nożem. Stójkowy gwizdnął, leci, strzela, dobiegł mnie, ale jak nim trzasnę o mur, tak padł, a tu już leżą ze wszystkich stron. Dopadliśmy fabryki, szukaj nas teraz, już my uratowani... Ale zwiedzieli się, psułaty, że to my... i dlatego oto tu jesteśmy, bo człowiek ma tylko jedną głowę.

— Jakże trafiliście do towarzystwa Walczaka?

— Nasz dziesiątnik pobiegł w te pędy do setnika, a ten dał nam adres do Krakowa, i od przypadku, do Dąbrowy Górniczej.

— Ależ wy, towarzyszu, mocni! — podziwiał Żalecki — a nie wyglądacie na takiego?

— Chwalić Pana Boga, siłę to mam.

— Dziesiątkę miedzianą zegnę w dwóch palcach — pochwalił Różga.

— No, i tobie nie brak siły... jak uściśnie po przyjaźni, to zebra trzeszczą.

— Więc wy, towarzysze, jesteście socjaliści? — spytał Waldman.

— To się wie... poco pytać? — uśmiechnął się Tomasz Różga.

— I macie dużą organizację?... Dużo was jest?

Kto należy? — ciągnął dalej Waldman.

— Organizacja jest — odpowiedział z miną podejrzliwą Płużek — ilu nas jest i kto do niej należy... jako sam nie wiem, tak i wam nie powiem.

— Ostrożność wasza dobra jest — uśmiechnął się Schweiger — zawsze lepiej robić, niż mówić. Ale my tu sami swoi, a wasza partya, to nasza partya... wy naturalnie esdeki... przepraszam, wy socjalni demokraci — Schweiger pomylił się — w potocznej bowiem gwarze używa się zamiast długiego określenia, początkowych liter S. D.

— My socjaliści i tyle... żydzi mają także swój Bund, a my między sobą — objaśnił Różga — i nie wiem o co idzie?

— Widzicie towarzyszu — zaczął Żalecki — są socjaliści tacy, którzy pragną, aby na całym świecie było dobrze robotnikom; aby jedni drugim nie przeszkadzali, ale byli ze sobą jak bracia...

— To my właśnie tacy — zawołał ucieszony Różga — ty nie pchaj się do mnie, ja nie pójdę do ciebie. Każdy w swoim kraju gospodarzem, a nie jak te Niemcy szoldry, co leżą w Sosnowice i w Dąbrowę... albo Moskale, co po kilkuset przyjeżdżają do Warszawy i biednemu narodowi chleb odbierają...

— Oni są jeszcze nieuśmiadomieni — rzekł Schweiger — ale gdy nimi zostaną...

— Zanim słońce zejdzie, rosa oczy wyje — zaśmiał się Płużek — i my na to są socjaliści, aby pracującemu narodowi dobrze było, aby mówił po swojemu, uczył się po swojemu, modlił się po swojemu.

(Ciąg dalszy nastąpi).